Rocznik I. Kraków, 1 sierpnia 1899. Numer 2.

# SKARBNICA

Pismo ludowe illustrowane
popularno-naukowe i powieściowe.

WYDAWCA I REDAKTOR:
*Ks. Marceli Dziurzyński.*



# Od Wydawnictwa!

Z następnym (3-cim) numerem powiększymy *Skarbnicę* jeszcze o cztery kartki druku, czyli, że każdy numer następny mieć będzie objętości **20** kartek druku.

Prenumerata przeto już od teraz wynosi nie 2 złr., ale **2** złr. **50** ct. na rok, a **1** złr. **25** ct. na pół roku, na co zwracamy uwagę i prosimy na przyszłość do tej prenumeraty się stosować.

Kto zapłacił za to bieżące półrocze tylko **1** złr. winien nam jest jeszcze **25** ct., które raczy nam dosłać.

Szan. Adresatów, którym ten 2-gi numer *Skarbnicy* przesyłamy na okaz, prosimy, aby przy nadsyłaniu przedpłaty nadmienili, że już ten 2-gi numer posiadają.

---



---

# Z Alwernii w Galicyi.

Klasztor św. Franciszka na górze Alwerni rozpoczął dalszą budowę wieży — ofiary przeważnie z pruskiego Śląska wpływają, a od Polaków w Galicyi bardzo rzadko. Podpisany prosi gorąco wszystkich Szanownych Czytelników *Skarbnicy*, aby zechcieli cegiełkę małą przesłać na tę budowę kosztowną, dla Pana Jezusa słynącego cudami w obrazie Alwernijskim.

Kto prześle ofiarę co najmniej **1** złr. (**2** marki) otrzyma **obraz wielki P. Jezusa fundacyjny i mieć będzie udział w Mszach św. 52,** co roku za życia i po śmierci (każdej niedzieli). Nazwiska ofiarujących należy przy przesyłce ofiary podać na przekazie poczty.

*X. Stefan Podworski*
Gwardyan
**w Alwernii** (poczta w miejscu).

Rok I. Kraków, 1 sierpnia 1899. Numer 2.

# SKARBNICA

popularno-naukowa i powieściowa

dla ludu polskiego.

Wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia 1-go.

Wydawca i redaktor: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

**Przedpłata wynosi:**

**w Austryi**: na rok **2** złr., **50** ct. na pół roku **1** złr. **25** ct. — **W Niemczech**: na rok **5** marek. — **W Ameryce**: rocznie **1**$^1/_2$ dolara.

**Adres** do przesyłania przedpłaty: **Redakcya „Skarbnicy“ w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**

## O wieśniakach w Norwegii.

(Dokończenie).

Opisaliśmy w poprzednim numerze mieszkania ludu wiejskiego w Norwegii, oraz klimat tamtejszy, i co robią owi wieśniacy w każdej porze roku. Teraz przypatrzymy się ich strojom i oświacie.

Najlepiej można się przyjrzeć strojom ludu norwegskiego na jarmarkach, gdzie zbiera się z różnych okolic tłum odświętnie przybrany.

Mężczyzni noszą kurtki, ozdobione kolorowemi wyłogami, spodnie krótkie do kolan, spięte podwiązkami na kolorowych pończochach i płytkie trzewiki ze świecącemi klamrami. Futrzana czapka, lub wysoki kapelusz dopełniają stroju.

Do niedawna jeszcze nawet w Sejmie w takim ubiorze, który jest strojem narodowym, zasiadali gospodarze, rozpoznając się z jakich przybyli okolic: po barwie wyłogów, po srebrnych łańcuchach na kurtkach i innych ozdobach. Dziś Norwegowie zasiadają już w Sejmie we frakach.

Kobiety noszą szerokie, najczęściej niebieskie spodnice, u dołu czarną taśmą obszyte i gorsety czerwone. Dziewczęta splatają włosy w warkocze, a mężatki upinają sobie na głowie chustki białe, kolorowe, lub czarne, od których mocno odbija świeża ich cera i jasne, złotawe włosy.



Para nowożeńców stanu wieśniaczego w Norwegii.

Norwegowie zbudowani są silnie, i są przytem bardzo wytrwali. Pomimo złego żywienia się, rzadko chorują, i żyją dłużej niż ludzie w jakimbądź innym kraju, a to dlatego, że tamtejsze powietrze górskie przesycone jest zapachami sosnowej żywicy i wpływa bardzo korzystnie na zdrowie człowieka.

Usposobienie ludu norwegskiego jest poważne, a umysł badawczy. Zwykle namyśla się, zanim coś przedsięweźmie; gdy jednak raz co postanowił, wówczas choćby to wymagało wielkiej pracy. Norweg pokona wszystkie przeszkody i spełni, co sobie umyślił. Wytrwałości tej uczą go ubogie życie i ciężka praca, z jaką musi uprawiać swą nieurodzajną ziemię.

Przy niesłychanej tylko wytrwałości Norwegczyków, możebnem było pokonanie przeszkód, które utrudniają niezmiernie rozszerzenie się oświaty. Bo gdzież tu w ogromne śniegi i trzaskające mrozy posyłać dziatwę z rozprószonych po całym kraju osad do szkół nieraz o kilka mil odległych?

Przed laty tylko po miastach i większych parafiach znajdowały się stałe szkoły, zresztą dzieci wiejskie z całego kraju uczyły się od wędrownych nauczycieli, którzy przechodząc od zagrody do zagrody, obchodzili całą parafię.

Dziś pozakładano szkoły wiejskie, gdzie tylko mogło się zebrać trzydzieścioro dzieci, zdolnych do nauki. Budynek szkolny jest zawsze wysoki, widny, i z kilku izb złożony. W jednej, zawieszonej mapami i rysunkami dzieci uczą się, w drugiej, bawią się po pracy. Przy szkole znajduje się księgozbiór, czasem złożony z kilkuset książek, z których każdy może korzystać.

W takich szkołach, oprócz nauki czytania, pisania i religii, uczą też historyi, rachunków i nauki o ziemi. *W Norwegii takiemu, co nie umie ani czytać, ani pisać, nie dadzą ślubu;* zresztą zdarzyć się to może nader rzadko, bo nauka jest tu przymusową i bezpłatną od lat 7 do 14.

Rodzice nie posyłający dzieci na naukę, płacą karę; jeżeli po siedmiu latach nauki okaże się, że dziecko nie skorzystało dostatecznie, to rodzice i nadal zmuszeni są posyłać je do szkoły, i sami muszą już dopłacać za jego naukę. Jeżeli są na to za biedni, to za nich płacą bogatsi, którzy się na to składają.

Oprócz stałych szkół i dziś jeszcze chodzą po kraju nauczyciele wędrowni. Cóż to bywa za uroczyste święto, gdy do zasypanej śniegiem osady lub zagrody, znajdującej się na odludnej skale, zawita taki wędrowny nauczyciel! Choćby tylko troje zdolnych do nauki dzieci znajdowało się w tym zakątku,

już nauczyciel obowiązany jest pozostać, bo on jest utrzymywany z ogólnych podatków.

Rodzice jednego dziecka dają mu mieszkanie, drudzy stół, a trzeci najlepszą izbę na szkołę. Nauka trwa parę miesięcy, a potem nauczyciel, zadawszy lekcye uczniom i naznaczywszy najwięcej umiejącego na swoje miejsce, pakuje niewielki swój węzełek i idzie dalej siać ziarno nauki.

Dzieci i gospodarze z żalem go żegnają i proszą o prędki powrót; bo nauczyciel jest zawsze bardzo szanowany przez lud norwegski. Najczęściej zdarza się tak, że syn gospodarza pojedzie na naukę do stolicy kraju, to jest do Chrystyanii, a potem powróciwszy, latem w roli pracuje, a w czasie zimy zajmuje się nauczycielstwem.

Oprócz takiej nauki najpierwszej, początkowej, znajdują się jeszcze po wsiach szkoły wyższe, zwane tu uniwersytetami, w których dorośli mogą kształcić się dalej. Opłata w takich szkołach jest nawet bardzo wysoką, bo wynosi około 30 reńskich od jednego ucznia za zimową naukę; a jednak wszystkie takie szkoły są przepełnione młodzieżą.

Nieraz biedny wyrobnik pracuje krwawo całe lata, żeby za zaoszczędzony grosz pojechać na naukę, a dziewczyna ślub odkłada i oddaje sporo pieniędzy na wiano zebranych, żeby chociaż przez rok posłuchać nauki w uniwersytecie, gdyż narzeczony „z uczonych“ już nie chce brać zupełnie nieoświeconej żony.

Jakże inaczej, a nader smutno jest w naszym kraju. Na szkołę płacą niektórzy nasi wieśniacy ze złością, inni nie posyłają dzieci do szkoły regularnie, a inni wreszcie śmieją się z nauki i oświaty.

Gdyby tu do nas zawitał kiedy jaki wieśniak z Norwegii i przypatrzył się oświacie po wsiach, toby z pewnością odwrócił się ze wstrętem od takich ludzi, co tak mało o swą oświatę dbają.

Podaliśmy tu opis o wieśniakach w Norwegii naumyślnie w tym celu, by i nasz lud poszedł wnet ich śladem, bo tylko lud oświecony zasługuje na szacunek, i może sobie rościć prawo, do udziału w życiu politycznem na równi z innymi obywatelami.

## Stary szewc z ubogiej chałupy.

Dzwony wiejskiego kościółka w Wierzchlesie wzywały na nabożeństwo. Po wszystkich też drogach starzy i dzieci,

chłopaki i dziewczęta dążyli na Sumę i kazanie. Ubiór ich był schludny i czysty; wieśniacy strojni w siwe baranie czapy i w długie granatowe sukmany, lub białe kamizele; kobiety zaś w czerwone chustki na głowie i w sukienne kurtki, lub zgrabne kaftany z błyszczącymi guziczkami, niektórzy z nich z książeczkami do nabożeństwa; na wszystkich zaś twarzach jaśniała radość i wesele w tym dniu, poświęconym modłom i odpoczynkowi po ciężkiej pracy.

O kilka kroków ode drogi, przy końcu wioski, na wzgórku wyglądała z pośród leszczyny nędzna, na pół rozwalona chatka, a w niej przy okienku z poklejonemi papierem szybami stał staruszek, i ze smutkiem patrzał na lud strojny, spieszący do domu Bożego, i długo prowadził za nim oczyma, aż ostatni wieśniak zniknął między chatkami wioski, dzwon umilkł, i wkrótce rozległy się nabożne śpiewy w kościele.

Staruszek, popatrzywszy na podarte swoje łachmany, zalał się łzami, ale je obtarł prędko, spojrzawszy na żonę, która siedząc na pochylonej ławie, i opierając głowę o deskę służącą im za stół, rzewnie płakała, tak, iż łzy przez podarty fartuch, którym twarz zasłoniła, rzęsisto kapały.

— Nie płacz, Małgorzato, odezwał się staruszek, na co ci tak się płaczem mitrężyć? Obrażasz tem Pana Boga, któremu, znać, podobało się nawiedzić nas, co z poddaniem winniśmy znosić On wie, że nie z lenistwa w domu siedzimy, podczas, kiedy inni chwalą w kościele wielkie Imię Jego; On wie, że wstyd nas pokazać się światu w tych łachmanach, co nie ze wszystkiem nawet pokrywają nagość naszą. Bywało, Małgorzato, że i my nie opuściliśmy żadnego nabożeństwa, a kościół wtedy był o milę od naszej wioski; lecz teraz, rzekł z westchnieniem, ciężka nasza dola! ale cóż robić, Bóg, co czyta w sercach naszych, wie, że one korzą Mu się i tu w nędznej chacie, jak niegdyś korzyły się w Jego świętym przybytku. Nie płacz więc, mówię ci, bo łzy nic nie pomogą; ot, lepiej poszukaj mojej książki do nabożeństwa, pomodlimy się i zaśpiewamy razem kilka litanij, tak, jak je w kościele śpiewają.

Małgorzata wstała, zdjęła z pułki książkę w starej podartej oprawie, i podała ją Piotrowi

— Pomodlę się z tobą, rzekła, ale śpiewać... nie, Piotrze, teraz i sił mi do śpiewu nie stanie; ach! kiedy spojrzę na te szczęśliwe matki, idące do kościoła ze swemi dziećmi..

— I na te świąteczne ubiory, nieprawda Małgorzato, dodał Piotr, to ci serce rozdziera? Mam jeszcze przed oczyma

twoją świąteczną granatową sukmankę, co ci w niej tak ładnie było, i ona zgorzała z całym dobytkiem! Lecz święta wola Twoja, Panie! i my sami mogliśmy byli zgorzeć, a On nas zachował.

— Zachował, przerwie Małgorzata, ale dlatego, żebyśmy w nędzy zginęli; o! dla mnie sto razy lepiej było umrzeć razem z moją Ewusią!

— A toż co! Małgorzato! nie spodziewałem się takiej mowy po tobie; a cóżby mnie to biednemu starcowi zostało na świecie, gdybym stracił jeszcze i ciebie, ostatnią moją pociechę?

— Święta prawda, mój stary, wybacz mi, toć to z tobą lżejsza i boleść, ale pomyśl jeno, odzież z nas opada, a chleba zostało na jeden dzień zaledwie.

— Spuśćmy się na Boga i dobrych ludzi, rzekł Piotr. Jutro dzień powszedni; znów się weźmiemy do pracy. Oto trzy pary butów, naprawię je, wezmę od każdej po dziesiątce, to będzie i złotówka, a twoja kądziel? wszakże prząść jeszcze możesz? Zresztą, kogo Pan Bóg stworzy, tego nie umorzy; raz nas już wybawił od głodowej śmierci, dotąd zaś, dzięki Jemu, jeszcześmy u nikogo nie żebrali, a to, przyznam się, byłoby dla mnie gorsze od śmierci.

— O! Boże, Boże, któż wie, co się jutro stać może, odrzekła Małgorzata, tak, jak nie przymierzając, ktoby to i pomyślał, że syn nasz tak zamłodu umrze, i to jeszcze w szpitalu?

— I wprzódy od nas, Małgorzato! wielkie to nieszczęście, ale nie myśl tak źle o szpitalach, czyż w nich mało uczciwych ludzi, mało dzielnych żołnierzy umiera? Czyż to ze szpitala nie ma drogi do Królestwa niebieskiego? Nie, moja droga, wiem, że i ty wierzysz, że dzieci nasze policzył Pan Jezus pomiędzy wybranych; On je wezwał do siebie w latach niewinności, gdy nie zasłużyły jeszcze na gniew Jego żadnym występkiem; one są tak czyste przed nim, jak ten jasny dzień; przestań więc płaczem obrażać Boga i posłuchaj czytania.

Małgorzata westchnęła nie odrzekłszy słowa. Biedna matka nie mogła się oswoić z myślą, że dwoje dziatek tak prędko postradała. Boleść Piotra była niemniej ciężką, lecz przekonawszy się nie jeden raz, jak te smutne wspomnienia szkodziły zdrowiu żony, starał się zawsze z udaną spokojnością zwracać rozmowę na inny przedmiot, jak tylko Małgorzata

zaczęła mówić o swoich dzieciach, lub dawniejszem, dostatniejszem życiu.

Syn ich Ludwik, ładny chłopczyk, okazywał z dzieciństwa wielką chęć i zdolność do stolarskiego rzemiosła. Ojciec więc oddał go, gdy podrósł, do odległego o 6 mil miasta do terminu, do dobrego majstra; tam uczył się tak pilnie i pracował tak szczerze, że wkrótce wyzwolił się na czeladnika; lecz nagle bardzo zachorował. Że zaś majster nie mógł dać mu w domu dostatecznej wygody, oddał go więc do szpitala, a wkrótce doniósł Piotrowi, że Ludwik umarł. Odtąd też Małgorzata nie mogła bez goryczy pomyśleć o szpitalu; czułe serce mówiło jej bezprzestannie, że syn umarł z powodu niedozoru, i że przy staraniach matczynych wróciłby był do zdrowia.

Pozostała im jeszcze córeczka, nad wiek roztropna i miłej twarzyczki dziewczynka. Poszedłszy z czasem za mąż za dobrego człowieka, powróciłaby im syna, lecz Bóg chciał inaczej: piorun uderzył w ich chatę, a cały dobytek i wszystko zboże (a było to tylko co po żniwach) stały się pastwą płomieni. Ewusia zaś, miła owa dziecina, zachorowawszy z przestrachu, w kilka niedziel Bogu ducha oddała, przez co ojciec i matka całkiem osamotnieli. Lecz, że nieszczęście nigdy prawie pojedynczo nie nawiedza; wkrótce po tym wypadku nastały wojny napoleońskie, a Piotr i Małgorzata z wielu innemi stali się ich ofiarą. Przez ustawiczne kwaterunki i podwody, przez opuszczenie gospodarstwa i stratę inwentarza, zabrnęli w długi, za które im zabrano i grunt i chatę. Takim sposobem postradali ostatni przytułek i sposób do życia. Opuścili więc wioskę, w której tyle ciosów ponieśli, i poszli szukać przytułku w innym zakątku kraju. Niektórzy z sąsiadów wsparli ich trochą pieniędzy, za które kupili sobie ubogą, napół rozwaloną chałupinę we wsi Wierzchlesie, od dawnego ich zamieszkania o mil kilkanaście, w której ich widzieliśmy.

Małgorzata od rana do wieczora przędła wełnę lub len na zarobek, a Piotr będąc już za słaby do ciężkiej pracy w ro'i, naprawiał stare obuwie, siedząc na zydelku obok kądzieli żony. Sąsiedzi, którzy nazwali go *starym szewcem z ubogiej chałupy*, dawali mu z chęcią obuwie do naprawy. Lecz lichy stąd zarobek ledwo starczył im na życie, a o odzieży ani pomyśleć było można; tak też dalece już się obdarli, że wstyd ich było wychodzić do kościoła, i lękali się zbliżenia zimy. Do zimy wprawdzie jeszcze kilka było miesięcy, Piotr czytając nieraz Małgorzacie z nabożnej książki, że *Bóg daje*

*pisklętom pożywienie, lilijom polnym odzienie*, krzepił jej otuchę.

Poczciwe małżeństwo, pomodliwszy się, powstało z klęczek, gdy już ludzie z kościoła wracali; Piotr podszedł ku okienku, by popatrzeć na świat Boży i widokiem jego zbolałą duszę ukoić.

Tuż przed chatką było zielone wzgórze, ocienione rozłożystemi lipami; pod jedną z tych lip odpoczywał właśnie jakiś podróżny. Na plecach miał skórzany tłumoczek, a w ręku kij podróżny, obuwie mocno pyłem pokryte znać dawało, że kawał odbył już drogi; z sukien zaś jego czystych i porządnych, można było wnosić, że to człek dostatni. Odpocząwszy nieco w cieniu, położył kij na murawie, zdjął z pleców tłumoczek, a dobywszy z niego kawał białego chleba i krajankę sera, dobrze się posilił; poczem klęknąwszy gorąco się modlił do Przedwiecznego, dla wyproszenia sobie widać, szczęśliwej dalszej podróży; następnie powstał, wyjął z kieszonki srebrny zegarek, spojrzał nań i na drogę, i poszedł dalej.

— Szczęśliwej ci drogi, dobry człowiecze, pomyślał Piotr, tyś mi się tak pokrzepionym modlitwą na tem miejscu wydawał, że i mnie bierze ochota pomodlić się i spocząć na chwilę pod cieniem tych pięknych lip, być może, że w śnie spokojnym zapomnę o smutnej mej doli. I nic nie mówiąc Małgorzacie, wyszedł z chaty, i stanął na wzgórzu. W miejscu, gdzie spoczywał podróżny, leżało coś białego, Piotr się nachyla i podejmuje zwinięty papier, a czując ciężar, rozwija go z pośpiechem: w papierze było 10 dukatów, a przy nich w drugim zwitku złoty krzyżyk na takimże łańcuszku. Piotr oglądał dukaty, potrząsał niemi, ciesząc się brzękiem złota, a potem wszystko starannie, jak było, zawinął. Nie miał już chęci do spania, lecz spoglądał to na drogę, którą poszedł podróżny, to na swoję chatę; skinął potem na Małgorzatę, wyglądającą za nim oknem.

— Cóż ty tu robisz, stary? spytała, gramoląc się z trudem na wzgórze.

— Patrz, Małgorzato, com znalazł! rzekł Piotr, i rozwinął przed nią papier.

— Chryste Panie! złote pieniądze! To dukaty! jeden, dwa, siedm, dziesięć..., dziesięć dukatów w tak małym papierze! A ten krzyżyk złoty to, czy mosiężny, jak ty myślisz Piotrze?

— Myślę, że złoty, a i łańcuszek także złoty.

— Chryste Panie! jakież skarby, to chyba nam to Anieli z nieba na tem miejscu położyli. Widać Piotrze spodobałeś się Bogu twoją modlitwą, i on zesłał biednym *ptaszkom pożywienie.* Teraześmy bogaci! Słuchaj Piotrze, jeden dukat wystarczy nam na kupno ciepłego odzienia, żeby w zimie nie zmarznąć; za dukata kupimy zboża, a jeszcze za dukata rozmaitych porządków do domu. Dobrzeby to przyprowadzić i krówkę z targu, aleby nam może i zabrakło pieniędzy, zwłaszcza, że trzeba coś zachować i nadal, na przypadek, jak z nas które zaniemoże... Ale ty się śmiejesz ze mnie Piotrze, jakbym ja co od rzeczy mówiła.

— Tak jest, przerwał Piotr, śmieję się z ciebie, bo jakżeż można ryby łowić przed siecią, jakżeż to można rozrządzać cudzą własnością?

— Cóż ty pleciesz, mój stary, cudzą własnością? Alboż ty wiesz, czyje to są pieniądze, albo tam na nich napisano do kogo należą?

— A jeśli też wiem do kogo należą?

— A, jakże ty o tem wiedzieć możesz?

— Otóż, rzekł Piotr, że wiem, pieniądze te są własnością podróżnego, który na tym pagórku przed chwilą odpoczywał; widziałem, jak wyjmował z tłumoczka pożywienie, i znać, wtedy je z niego uronił.

— To zapewne on ma niemało takich dukatów, kiedy je tak nieostrożnie po gościńcach sieje, widać, że niczem jest dla niego ta zguba, a dla nas wszystkiem.

— Oj! prawdę mówisz Małgorzato, że wszystkiem, bo może zgubić lub zbawić duszę naszą. Nam już żyć niedługo na tym świecie, dlaczegóż więc obciążać sumienie swoje temi dziesięcioma dukatami? Czy myślisz, żeby nam one jaką korzyść przyniosły? Prawda, żylibyśmy wygodniej, mieli pościel miększą, ale stracilibyśmy sen spokojny; mielibyśmy nową odzież, ale w tej odzieży większyby nam był srom przed światem, niż w tych szmatach lichych. A cóżbyśmy odpowiedzieli przed strasznym sądem Boga? Ubóstwo nie tłómaczy, przeciwnie, ubogi powinien więcej od innych dbać o swoją poczciwość, dlatego, że częściej niż inni podpada pokusom, i że w niej ma on jedyny skarb, którego całą siłą strzedz powinien.

Ale nie trać odwagi, moja droga, nie umrzemy z głodu; spojrzyjno na te obfite pola: nastaną żniwa, nasz dobry pan zapewne nam nie wzbroni zbierać po sprzęcie kłosów po polach; ztąd zbierze się kilka snopów, a i nasz ksiądz Proboszcz

jest litościwym dla biednych. Wszystko to lepszem będzie od tych bogactw, do których nie mamy najmniejszego prawa.

— Dobrze mówisz, rzekła smutnie Małgorzata, będzie kęs chleba, lecz czem się okryjemy?

— Bóg jest miłosierny; czyżeś nie słyszała, że On daje odzież i polnym lilijom. Ten podróżny może nam da znaleźne, choć to po prawdzie nie zasługuje na nagrodę, boć tylko wypełniam obowiązek. Bądź co bądź, spieszę zabiedz mu drogę, pójdę przez pola, to będzie dwa razy bliżej, a gdybym, czego Boże uchowaj, już go nie dogonił, to dam ogłosić po kościołach z ambon.

— Idź, idź, mój Piotrze, oddaj to złoto, przez które omałom w grzech nie popadła, rzekła Małgorzata przekonana ostatniemi słowami męża.

Stary Piotr zatem podpierając się kijem, wyruszył z pośpiechem na spotkanie podróżnego. Małgorzata prowadziła go długo oczyma ze wzgórza, jakby mu wzrokiem swoim chciała dodać siły. Ale, dlaczegóżbym i ja z nim razem nie poszła, pomyślała sobie, on biedny, iść raźno nie może, dogonię go, i pomogę mu. Zaraz też pospieszyła za mężem, i dognawszy go wreszcie: Siądź, mój stary, rzekła, odpocznij, ja pójdę za ciebie.

— To być nie może, przerwie Piotr zdyszany, ty go nie znasz, lecz, kiedy taką masz ochotę, to pójdźmy razem.

I ująwszy się pod ręce, potykając się często, poszli ścieżką przez pola ku gościńcowi. na który przybywszy wreszcie, ujrzeli z wielką radością idącego ku nim podróżnego.

Trudno wyobrazić sobie zadziwienie i wdzięczność jego, gdy odzyskał swą zgubę.

— Jeżeli wasza powierzchowność, staruszku, mnie nie myli, tom ci powinien być daleko wdzięczniejszym niż innemu, rzekł podróżny, sciskając rękę Piotra, gdyż zdajesz się być bardzo biednym.

— Ach, panie, odezwała się Małgorzata, niema od nas ludzi biedniejszych na świecie.

— Co tu mówić o biedzie, przerwał jej Piotr; dzięki Bogu, żeśmy mogli zwrócić pieniądze prawemu właścicielowi. Nie nam to nosić złoto w kieszeni.

— Lecz na wasze lata przejść taki kawał drogi dlatego, aby oddać tę małą sumkę!.. Czyż nie macie dzieci?

— Dzieci!... ach, nie mamy już dzieci! Mieliśmy wprawdzie córkę i syna, lecz Bóg je zabrał do swojej chwały, odpowiedziała Małgorzata z westchnieniem.

— Cóż robić, rzekł Piotr, taka widać była wola Boża, ale Małgorzato, już pora do dom wrócić; zwracając się zaś do podróżnego, dodał: Szczęśliwa wam droga! a bądźcie na drugi raz ostrożniejsi i nie urońcie gdzie znowu swoich pieniędzy.

Podróżny zdawał się być zasmucony. Nie, dobry człowiecze, rzekł, ściskając mu rękę, tak się nie rozstaniemy. Usiądźcie tu na murawie i dowiedzcie się przynajmniej, jak wielką uczyniliście mi przysługę, za którą nic wam nawet ofiarować nie mogę, gdyż złoto to jest dla mnie świętem i nie mam żadnego doń prawa, a pieniądze, które mi pozostały, zaledwo wystarczą na dalszą podróż, bo mam jeszcze przejść mil kilkanaście do miejsca; lecz zapewniam was, że się niedługo zobaczymy, powiedzcie mi tylko, staruszku, gdzie mieszkacie, i jak się zowiecie. Nie chcę zapomnieć ani tego wzgórza, ani tej chaty, w której mieszkają tak poczciwi ludzie. Jakżeż wasze miano, staruszku? dodał nieznajomy, wyjąwszy z zanadrza książeczkę do zapisywania.

— Spytajcie się tylko o *starego szewca z ubogiej chałupy;* tak mnie tu nazywają. Będę się cieszył, jeśli sobie o nas przypomnicie, a w każdym razie nie przestaniemy za was się modlić, boście nam udzielili kilka chwil szczęśliwych, w które życie nasze tak skąpe!... Bywajcie zdrowi.

— O! dobry starcze, nie zapomnę cię nigdy; inaczej nie byłbym godzien znaleść szczęścia, którego szukam; lat już przeszło 15 mija, jak opuściłem swoją rodzinę, i odtąd nie mam żadnej wiadomości, ojciec i matka mają mnie za umarłego, i być może, że oni sami już nie żyją; lecz jakaż dla mnie radość, jeżeli znajdę ich jeszcze przy życiu!

— O! prawda, prawda, wielka radość, rzekła Małgorzata, jakże i oni będą szczęśliwi, kiedy ujrzą swe dziecię!... My zaś ze swojemi nie zobaczymy się chyba na tamtym świecie!

— Ja sam byłem winien, przyznaję się; za młodu zdurzony namowami zaciągnąłem się do wojska, nie dawszy wiedzieć o tem rodzicom, i wkrótce z wielu rodakami musiałem opuścić Europę. Wysłano nas bowiem wprzód do Francyi, a stamtąd na wyspę Saint-Domingo, leżącą śród morza wielkiego, stąd 1000 mil, albo i więcej, a to, aby się tam bić z murzynami. Wielu z naszych wyginęło od zaraźliwych chorób, lub zatrutych strzał nieprzyjaciół, mnie jakoś strzegł Pan Bóg; nieźle mi się powodziło: awansowałem wkrótce na podoficera, a oszczędzając żołd swój i zarabiając w wolniejszym

czasie stolarstwem, uciułałem sobie nieco grosza; ale nie wsmak mi szły pieniądze, bo na sercu ciężko było, bo tęskniłem za krajem, w którym zostało to wszystko, co mi było najdroższem na świecie: ojciec, matka i siostra. Z początku nie miałem sposobności posłania listu do rodziców, potem pisałem list za listem, ale żadnej odpowiedzi nie odebrałem. Wreszcie, po rozmaitych wypadkach powróciłem do kraju.

Przybywszy do Warszawy, znalazłem tam mego dawnego majstra, który stale w niej osiadł. Z początku nie mógł mnie poznać, tak mnie skwarne słońce na owej wyspie opaliło; jednakże, po przywiedzeniu mu różnych okoliczności, przypomniał mnie sobie. Córka jego, którą był dzieckiem zostawił, wyrosła na piękne i rozsądne dziewczę; pokochałem ją szczerze, a gdy i ona dzieliła moje przywiązanie, oświadczyłem się o nią ojcu, który bacząc na moje dobre prowadzenie się i udoskonalenie w stolarstwie, na związek nasz zezwolił, napisałem więc zaraz do rodziców, donosząc im o tem, lecz nie otrzymawszy odpowiedzi, postanowiłem przed ożenieniem się wyszukać ich, i prosić o błogosławieństwo. Julia, moja narzeczona, z 3o dukatów danych jej na wiano, odłożyła te oto dziesięć, na koszta przewiezienia rodziców do Warszawy; dla siostry zaś mojej podarowała ten złoty krzyżyk, który nosiła na złotym łańcuszku na szyi.

Widzicie więc, jak te pieniądze są dla mnie drogie; lecz jeżeli już nie mam ani ojca, ani matki, ani siostry..., serce moje krwią zabiega Siostra była wprawdzie młodszą odemnie, lecz mój stary ojciec, taki poczciwy, tak litościwy! lecz moja matka, którą znały wszystkie sieroty, i zwały swoją pociechą!... Dobrzy ludzie, powiedzcie mi, czyście nie słyszeli czasem o Piotrze Paduszaku i jego żonie Małgorzacie?

Trudno wyobrazić sobie radość i zadziwienie poczciwego małżeństwa, gdy z tego opowiadania, a więcej jeszcze z wymienienia ich nazwiska, przekonali się, że to o nich mowa! W największem uniesieniu rzucił się stary Piotr w objęcia syna, którego miał za umarłego, a Małgorzata przyciskając rękę Ludwika do swego serca, wśród łez szczęścia nazywała go swoim Aniołem. Ukląkłszy śród drogi, wszystko troje składali Najwyższemu tysiączne dzięki za to niespodziewane szczęście, i tylko wspomnienie Ewusi przerwało nieco ich radość. Ludwik smutnem milczeniem objawiając żal swój, zawiesił złoty krzyżyk na szyi matki, potem wzniósłszy oczy ku Niebu, zdawał się szukać tam swej ukochanej siostry.

Po chwili milczenia opowiedział rodzicom, że leżąc chory w szpitalu obok rannego sierżanta, dał mu się namówić do wojska szumnemi obietnicami; że majster, u którego pracował wówczas już jako czeladnik, dowiedziawszy się o jego ucieczce, z obawy, aby mu rodzice jego nie czynili wyrzutów za niedozór, zwiódł ich fałszywą wiadomością o jego śmierci w szpitalu.

Staruszkowie nawzajem opowiedzieli synowi o swoich nieszczęściach. Twarz ich zmieniła się z biedy i starości, a Ludwika od palącego słońca wyspy Sę Domingo; nie dziw więc, że się wzajem nie poznali.

Ująwszy się za ręce, doszli do ubogiej chaty. Ludwik rozrzewniony błogosławił ze łzami to wzgórze, na którem go pierwszy raz ojciec zobaczył. W krótkim też czasie, aby miejsce to uświęcić, zakupił je i darował wraz z chatą jednej ubogiej rodzinie, z warunkiem, aby strzegła jak świętości tych lip, pod które Opatrzność przywiodła go szukać spoczynku.

Piotr i Małgorzata dziękując Bogu codziennie za tak wielkie szczęście, ostatnie lata życia swego spędzili swobodnie w gronie swych dzieci. Julia okazywała się dla nich najprzywiązańszą córką, a Ludwik zdawał się być ich Aniołem opiekuńczym.

Tak to Boża Opatrzność nagradza uczciwe życie, i pokorne poddanie się Jej świętej woli!

## Rasy, narody i plemiona ludzkie.

Kulę ziemską zamieszkuje około tysiąca i sześciuset (1600) milionów ludzi. Ludność ta nie jest jednakowo na ziemi rozmieszczoną; najgęstsza ludność bywa w krajach bogatych i zdrowych; najmniej ludnemi są okolice ziemi pustynne, biedne, bardzo zimne i niezdrowe.

Pomimo ogólnego podobieństwa wszystkich ludzi, są jednak w budowie ich czaszki, w barwie skóry, w kształcie włosów i usposobieniu duchowem znaczne różnice. Dlatego podzielono cały rodzaj ludzki na kilka ras, czyli odmian.

Jest pięć głównych ras czyli odmian: biała, żółta, czarna, czerwona i oliwkowa. Te rasy zwią się także inaczej, i tak rasę białą nazywa się: kaukazką, rasę żółtą: mongolską, rasę czarną: murzyńską, rasę oliwkową: malajską, a czerwoną: amerykańską.

| | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Ludzi | odmiany, | czyli | rasy | białej | jest | około | 780 | milionów |
| „ | „ | „ | „ | żółtej | „ | „ | 510 | „ |
| „ | „ | „ | „ | czarnej | „ | „ | 200 | „ |
| „ | „ | „ | „ | oliwkowej | „ | „ | 50 | „ |
| „ | „ | „ | „ | czerwonej | „ | „ | 10 | „ |
| | | | | | | Razem | 1550 | milionów, |

nie licząc tu jeszcze kilka milionów ras drobnych, które się nie dadzą podciągnąć do pięciu głównych.

Najliczniejszą i najwięcej mającą znaczenia na świecie jest rasa biała, do której i my należymy; ona też stoi najwyżej ze wszystkich ras pod względem rozwoju umysłowego. czyli oświaty. Nauki, przemysł, sztuki i urządzenia społeczne powstały i rozwinęły się głównie wśród ludzi rasy białej. Jest ona najpotężniejszą, rozeszła się po całym świecie, i wszystkim innym rasom narzuciła, lub stara się narzucić swoje panowanie.

Do każdej rasy należą liczne ludy, czyli plemiona i narody.

I cóż to jest naród?

Naród jest to wielotysięczna, lub wielomilionowa gromada ludzi, mających wspólne pochodzenie, jeden język rodzinny i mniej więcej jednakie obyczaje. (Polacy są więc narodem).

Zaś drobne gromady ludzkie, mało oświecone lub zupełnie dzikie, zowiemy nie narodami, lecz ludami lub plemionami.

Każdy naród i plemię ma zazwyczaj kraj własny, rodzinny, w którym żyli i pracowali jego przodkowie, który dziś naród ten żywi. Wyjątkowo tylko są narody, nie mające własnej ojczystej ziemi; takimi są żydzi, którzy przed wiekami wyszli z ziemi rodzinnej i rozprószyli się po innych krajach.

Trzecią ważną oznaką narodu jest religia, jaką ten naród wyznaje. Powiadają uczeni i misyonarze, że niema na świecie plemienia tak dzikiego, któreby nie miało żadnej religii, żadnego pojęcia jeżeli nie o prawdziwym Bogu, to przynajmniej o Sile Największej, która jest początkiem wszechrzeczy.

Rozmaicie sobie ludzie wyobrażają tę Siłę Najwyższą, czyli Boga, stąd tyle na świecie religij. U wielu ludów, do których nie przeniknęło jeszcze światło prawdziwej wiary, istnieje dotąd pogaństwo; wszędzie jednak wiara w Jedynego Boga zdobywa sobie coraz więcej wyznawców.

Są dalej ludy oświecone i ludy dzikie. Dzicy ludzie sposobem życia nie wiele różnią się od zwierząt, i stoją na najniższym szczeblu rozwoju umysłowego, podczas gdy inne ludy wzniosły się na wysoki szczebel tegoż rozwoju. Im czło-



Człowiek rasy białej.



Człowiek rasy żółtej.



Człowiek rasy oliwkowej.



Człowiek rasy czarnej.



Człowiek rasy czerwonej.

wiek sposobem życia bliższy jest zwierzętom, tem jest dzikszy, a im wyżej się pnie, i zaspokaja swe potrzeby cielesne i duchowe w odmienniejszy sposób od zwierząt, tem wyżej stoi na szczeblu oświaty.

Murzyn australski zadowolni się korzonkami leśnymi, robakami i mięsem wężowem, gdy my potrzebujemy chleba, kartofli, kiełbasy i innych przysmaków. Patagończykowi w Ameryce wystarcza za mieszkanie jaskinia podziemna, a my radzi mieszkamy w chatach i w porządnych kamienicach.

Tamci obchodzą się bez szkół, bez kościołów, my zaś staramy się mieć jak najwięcej szkół, a Pana Boga najdogodniej nam czcić i wielbić w świątyniach.

Im większe jaki naród ma potrzeby duchowe i cielesne i różniejsze sposoby na ich zaspokojenie, tem jest oświeceńszy, czyli więcej cywilizowany, a im mniej ma tych potrzeb, i mniej środków na ich zaspokojenie, tem jest dzikszym.

Czytając opisy życia różnych narodów i ludów, zaraz można poznać, czy ten naród jest dzikim czy cywilizowanym. Opisy takie podawać właśnie zamierzamy w naszej *Skarbnicy*.

## O porządku i czystości w domu.

Porządek jest duszą wszystkiego, a jednak jakże mało o niego ludzie, szczególniej włościanie dbają? Zamieść izbę, pościerać kurz, umyć naczynia, ustawić je na właściwem miejscu, to wszakże nic wielkiego; a przecież rzadko we wsi znaleźć taki dom, w którymby o tem pamiętano. Zamiotą wprawdzie środek izby, ale pod łóżkami, pod piecem śmieci nie poruszone. Co gorsza, śmiecie ze środka izby wgarną ci tu pod łóżko, aby tam leżały, dopóki ich się więcej nie nagromadzi. Można też sobie wyobrazić, ile w owych kupach śmieci będzie robactwa!

A o czyszczeniu odzieży i obuwia, któż na wsi myśli? Buty, to się tam jeszcze posmaruje, żeby nie były zbyt twarde, ale o częstem wykurzaniu odzieży oraz pościeli, bardzo mało gospodyń pamięta.

W niedzielę lub święto, toć się tam i ogarną jako tako, a nawet niektórzy wystroją; ale w powszedni dzień, to stary, czy młody kładzie na siebie odzież taką, jaką zdjął wieczorem i ani pomyśli o oczyszczeniu jej z pierza, z błota, lub innych nieczystości.

Umyć się, uczesać zrana, każdy powinien, boć to jest ko-

niecznem bodaj. A jednakże śmiech bierze i zarazem smutno i przykro się robi, kiedy się pomyśli, że przecież naprawdę wieśniacy nasi nie myją się prawie nigdy. Stary czy młody, bierze w usta wody, wypluwa ją na ręce, i tem niby obmywa sobie ręce i twarz, a obciera się tem, co mu się pod rękę nawinie, skoro zaś nic takiego nie spotka, to rękawem.

Mydło po wsiach mają w użyciu przeważnie tylko mężczyźni i to wówczas, kiedy niem brodę wysmarują do golenia się. A przecież i ze snu, i kładąc się spać, każdy powinien się dobrze myć mydłem.

Cały dom czesze się jednym grzebieniem, małym, z brudu nieoczyszczonym, a trzeba dodać, że tylko staranniejsi wyczekują na niego; mniej zaś staranni nie troszczą się wcale o swoje włosy, jeno chodzą po kilka dni nieuczesani.

Czapkę powiesić na gwoździu, a odzież za drzwiami na kołku, brudną bieliznę na sznurze na górze, lub schować ją z przed oczów, to nic trudnego; a przecież jakże rzadko znaleźć taką chałupę, w którejby o tem pamiętano? Czapki, zamiast na gwoździu, ciągle siedzą na głowach; dobrze, że zdejmują je podczas jedzenia. Odzież, bielizna brudna porozrzucane są zwykle po łóżkach, poza piecem, słowem wszędzie, tylko nie we właściwem miejscu.

I skądże to pochodzi, że o porządek, o czystość tak trudno na wsi? Oto stąd, że rodzice, sami nie przyzwyczajeni do ładu i czystości, i dzieci swe podobnież wychowują. Zatem zmienić potrzeba dzisiejszy naganny sposób wychowania; trzeba się rozstać z niechlujstwem i nieporządkiem!

Powiem jedno: dla wprowadzenia do naszych domów błogosławionych skutków i porządku i czystości zróbmy na początku jedno: oto niech w każdej rodzinie, więc w każdej chacie będzie naczynie wyłącznie przeznaczone do mycia, ręcznik jeden i drugi do ocierania się, dobry grzebień do czesania włosów, szczotka do czyszczenia odzieży, a druga do czyszczenia obuwia (szczotki te i samemu nawet zrobić można ze szczeciny). Na początek przecież to niewiele, a i mycia, i czesania, i czyszczenia odzieży można dokonywać codzień, byle się jeno pamiętało, że człowiek to nie prosię. Ba, i prosięciu zdrowiej, gdy się je utrzymuje czysto, a cóż dopiero człowiekowi?

## Śpiew wieśniaczki nad kołyską.

Na badylu ptaszki mi się kołysały,
Lulu! lulu! mój synulu! — tak sobie śpiewały.

Wezmę na sukienkę płócienka z prążkami,
Ustroję chłopczyka w czepeczek z wstążkami.

W białej poduszeczce pójdzie do kościółka;
Tam ksiądz Proboszcz ochrzci złotego aniołka.

On ci będzie chrzestnym, da ci ojca miano;
Raniutko cię ochrzci, abyś wstawał rano.

Da ci ojca imię, imię Kazimierza,
A gdy chodzić będziesz, nauczę pacierza.

A teraz kolebkę umaję chłopczyny,
Będzie spał, jak w gaju zielonym ptaszyny.

A jak mi wyrośniesz i dobry i zdrowy,
Pójdziemy na odpust wraz do Częstochowy.

Weźmiem słoik masła i bochenek chleba,
A słonko nam jasno świecić będzie z nieba.

Pośród złotych łanów idąc z chorągwiami,
Będziem sławić Maryę głośnemi pieśniami.

A gdy Jasną Górę zdaleka ujrzemy,
Z całą kompanią na twarz upadniemy.

Potem przed Cudownym w kaplicy Obrazem
Pośród płaczu, będziem krzyżem leżeć razem:

I błagać będziemy Niebieską Królowę,
By pod Jej obroną wyrosłoś nam zdrowe.

Kupimy ci krzyżyk, szkaplerz poświęcany,
Lulajże mi, lulaj, syneczku kochany!

Zrazu będziesz nosił jagódki w dzbaneczku,
Nie płaczże mi, nie płacz, drogi kochaneczku!

Potem gnać na łączkę będziesz białe gąski,
Potem nam pomożesz zbierać w polu wiązki.

I do szkółki chodzić będziesz raniuteńko,
Nauczysz się czytać, pisać, me złoteńko.

Codzień wieczór, zrana, padniesz na kolana,
Pomodlisz się szczerze, dziecino kochana;

A Bóg cię pokocha, ustroi cię w cnoty,
Wzrośniesz nam, jak plenny kłos na polu złoty.

A codzień nie dając powstać raniej słonku,
Pójdziesz z ojcem orać przy dźwięcznym skowronku.

Potem nam i panu kosząc niwę złotą,
Będziesz przed wszystkimi przodkował z ochotą.

W dworze na okrężnem pójdziesz w skoczne tany,
Skrzeszesz podkóweczkę, syneczku kochany!

Do karczmy ci rzadko pozwolę na tany,
Bobym zapłakała, gdybyś był pijany.

Tak już gdy rozkwitniesz poczciwem chłopięciem,
Ożenię cię z ślicznem, cnotliwem dziewczęciem.

Wtedy ci wyprawi ojciec sute gody,
Przy skrzypkach i basie wspomnimy wiek młody.

Kołysz się, kolebko, od ściany do ściany,
Lulajże mi, lulaj, kwiateczku różany!

Ach! jak wiatr zadzwonił wszystkiemi szybami,
Ach! jak smutnie zawył Kruczek przed wrotami.

Do płaczu się zbiera: może me nadzieje
Wiatr wcześnie, jak zwiędłe liście z drzew rozwieje.

Kołyszże się, kołysz, kolebko lipowa!
Niechże cię Pan Jezus, syneczku, uchowa.

## Sekret Spowiedzi.

Pewien luteranin, zwiedzający Włochy i Rzym, nie chciał dać wiary temu, iżby księża katoliccy tak sumiennie zachowywali sekretu spowiedzi i nigdy nie robili użytku z tego, co na spowiedzi usłyszą.

Przebrał się więc w suknie kapłana katolickiego i udawał, że jest księdzem. Tak przyszedł do zakrystyi jednego kościoła, prosząc o spowiedź. Spowiadał się przed kapłanem zawiadującym zakrystyą i wyznał, że nie jest księdzem, ale ma zamiar w obłudny sposób Mszę świętą odprawić; nadto dodał,

iż tego zaniechać nie może, bo takie szaleństwo służy mu jako środek do utrzymania życia. Wyznał oraz, że posiada fałszywe dokumenta, którymi udowadnia stan swój jakoby kapłański.

Spowiednik oznajmił mu, że w takich okolicznościach nie może mu dać rozgrzeszenia, i wyszedł z konfesyonału. Luteranin poszedł w ślad za nim; wszedł znowu do zakrystyi, a gdy go tenże ksiądz zapytał, czego żąda, prosił o pozwolenie odprawienia Mszy św.

Ksiądz, jak gdyby nic nie wiedział o tem, co słyszał na spowiedzi, zażądał jego papierów, i te przejrzawszy, rzekł:

— Bardzo dobrze, odpraw ksiądz Mszę świętą.

Sam włożył nań aparat i przygotował kielich. Luteranin pełen zdziwienia, ujrzawszy to, zawołał:

— Teraz widzę naprawdę, iż ksiądz katolicki żadnego użytku nie robi z tego, co słyszał na spowiedzi! Teraz też wierzę, iż Kościół katolicki jest prawdziwym Kościołem Chrystusowym. Udzielcie mi Jego nauki, prosił gorąco, i nawrócił się na wiarę katolicką.

## Co starzy mówią.

Nie zadzieraj bardzo nosa — bo dostaniesz nosa.

---

Ochotny przy robocie, to śpiewa, to skacze,
A zaś leniwy ziewa, albo płacze.

---

Owoc po kwieciu — sława po życiu.

---

Prędzej włos wyrośnie na dłoni,
Aniżeli skąpiec nieba się dogoni.

---

Prostą drogą do nieba,
Więc po krzywych chodzić nie trzeba.

---

Przyjaźń tem się znaczy,
Że w nieszczęściu dopiero człowiek ją zobaczy.

---

Pij pijaku, pij!
A potem torba i żebraczy kij.

# O DWÓCH PUSTELNIKACH.

(Z podań ludowych).

Żył sobie na jednej pustyni pustelnik Błażej, który doszedł przez modlitwę do takiej świątobliwości, że miewał niebiańskie widzenia, że Bóg mu cuda czynić dozwolił. Błażej pragnąc w zupełności poświęcić się pobożnemu rozmyślaniu, błagał, aby go Bóg cudem żywił w pieczarze.

I Bóg wysłuchał prośby jego, i zsyłał mu przez Anioła codziennie chleb do pieczary. Błażej zrazu w niebiańskim zachwycie cały czas do Boga się modlił, śpiewał psalmy; ale wkrótce ogarnęła go tęsknota, potem nudy i lenistwo. Już z taką skruchą modlić się nie umiał, wreszcie kiedy *chleb rajski* zniknął, porzucił pieczarę i poszedł używać świata. Lecz Anioł zwrócił go i rzekł mu:

Widzisz ułomny człowiecze, że pracą gardzić nie trzeba; gdy pracą utrudzisz ciało, duch niem łatwiej władać może.

I z pokorą wrócił Błażej na puszczę, a kopiąc ziemię, pracując i modląc się, znów był szczęśliwy.

Prawda moralna w tej powiastce jest ta, że człowiek nie samej tylko oddawać się winien modlitwie, ale ją umieć godzić z odpowiednią pracą; że ani sama modlitwa bez pracy, ani sama praca bez modlitwy szczęścia zapewnić nie może.

Treści tej powiastki użył ks. Hołowiński za przedmiot do swej legendy pod tytułem *Chleb Rajski*, myśl zaś moralną w niej zawartą temi określił słowy:

Kopiąc ziemię, sadząc drzewa,
Znów szczęśliwy psalmy śpiewa;
Choć go łaską Bóg wzbogaca,
Choć moc cudów jemu wraca,
Jednak już nie prosił nieba,
By miał pokarm od Anioła,
Lecz do śmierci w pocie czoła,
Pracował na kawał chleba.

Znana jest druga powiastka gminna o *Aniele i pustelniku*, który pragnął poznać skryte grzechy ludzkie. Anioł przyrzekł pokazać mu takowe.

Kiedy razem przechodzili około ścierwa cuchnącego, pustelnik zatkał nos i odwrócił twarz, a gdy mijali dwóch młodzieńców cudnej urody, Anioł zatkał nos i twarz od nich od-

wrócił. Gdy przybyli na noc do pierwszej gospody, Anioł w nocy kazał pustelnikowi zabrać złoty pięknej roboty kielich, w którym gospodarz tak był rozmiłowany, że rano wstając, i na wieczór spać się kładąc, z upodobaniem się nim pieścił. Kiedy przybyli do innej gospody na drugi nocleg, Anioł dotknął się ręką dziecięcia, które było jedynem szczęściem rodziców, dla którego wyłącznie tylko żyli i nigdzie z domu się nie oddalali — i dziecię wnet umarło.

Przybyli wreszcie na trzeci nocleg do ubogiej karczmy, napełnionej już tak dalece podróżnymi, że nie było miejsca dla pustelnika i Anioła; ale uprzejmy gospodarz własnego kącika im ustąpił, a sam poszedł spać do stajni, jednak ci nie korzystali z jego ofiary i przespali się w zajeździe na sianie. Nazajutrz pyta się Anioł gospodarza, co mu się należy za nocleg, a gospodarz odpowiada, że nic, bo nie spali w gospodzie, ale w zajeździe, tam gdzie konie stały. Anioł na to oświadcza, że nocleg, który dla nich był przygotowany, musi być zapłacony; i dał bezinteresownemu gospodarzowi ów złoty kielich, który kazał był zabrać na pierwszym noclegu. Zdziwiony i zgorszony tem wszystkiem pustelnik rzecze do Anioła:

— Widzę, że nie jesteś Aniołem, bo odwróciłeś twarz od urodziwych młodzieńców, zabrałeś jednemu złoty kielich. drugiemu umorzyłeś dziecko i t. d.

Na to mu Anioł odpowie:

— Chciałeś poznać skryte grzechy ludzkie i nie widzisz ich; oto owi młodzieńcy tak pięknego lica, są brudnych obyczajów, i zapach cuchnącego ścierwa nie jest tak przykry, jak grzeszne ich dusze w obliczu Boga i Aniołów. Ów gospodarz na pierwszym noclegu tak się zakochał w mamonie, w owym złotym kielichu, a gospodarz na drugim noclegu w swem jedynem dziecku, że zapomnieli już o Bogu, o bliźnich, o dobrych uczynkach i kościele. Bóg więc kazał zabrać jednemu ów kielich, a drugiemu dziecko, aby odwrócili dusze od tego, co zanadto ukochali, a nawrócili się do Boga.

I to są *skryte* grzechy ludzkie, których nie widzą ludzie, ale które widzi Bóg. Ów zaś ubogi karczmarz okazał skrytą cnotę, którą Bóg nagrodzić mu kazał, bo nietylko ustąpił własnego wygodnego miejsca podróżnym, ale nawet zapłaty za to wziąć nie chciał.

Ileż więc i w tej ludowej powiastce jest głębokich prawd moralnych i jaka piękna strona serca i uczuć, tłumacząca wypadki nie według zwykłych ludzkich pojęć, ale według niezbadanego wyroku Bożego.

# Karły na dworach polskich.

Królowie i możni panowie w dawnej Polsce utrzymywali dla zabawy na dworach swoich karłów. W starych pamiętnikach i historycznych notatkach liczne o tem znajdujemy wzmianki. Karzeł inaczej był jeszcze nazywany niziołkiem lub łokietkiem. Zwykłym ubiorem karłów był kitel z pętlicami i czapeczka, podszyta lisami białemi.

W książce niemieckiej »*Turnier Buch*« znajdujemy wzmiankę, że na turniejach, w Wiedniu 1560 r. odbytych, karzełek za rycerzem polskim niósł buzdygan, co zupełnie zasługuje na wiarę, gdyż wielu Polaków brało udział w tych gonitwach. U Barbary, małżonki Zygmunta Augusta, był karzeł Okuła, czasem Okulińskim zwany. Karzeł ks. Biskupa krakowskiego, Jędrzejek przywiózł królowi wino; dano mu szubę kunami podszytą i rysią czapkę.

Z pamiętników Commendoni'ego dowiadujemy się, że w tym samym mniej więcej czasie przybył z Francyi do Polski karzeł Polak, Krossowski. W młodym wieku zawieziony do Francyi i oddany królowej, był pieścidłem dworu; obdarzony rzadką nauką i dowcipem, zebrał znaczne pieniądze, a gdy się zestarzał, do swej ojczyzny powrócił. Zapraszany przez panów na uczty, bawił ich opowiadaniem o Francyi i o zwycięstwach Henryka, króla francuskiego. Po śmierci Zygmunta Augusta, Andrzej Zborowski wysłał go napowrót do Francyi z listem do Henryka, przyrzekając mu wystarać się o tron polski i radząc, by wyprawił posłów. Karzeł został odesłany coprędzej z zawiadomieniem, że przybędą posłowie z Francyi.

W innych pamiętnikach czytamy, że u Zygmunta III było ośm karlątek męskich i żeńskich z Litwy. Na trumnie Cecylii Renaty, pierwszej żony Władysława IV, za królową, przystępującą do męża, w płaskorzeźbie wyobrażona jest karlica.

U Kazanowskich, według opisu podróży pani Guebriant do Polski, dwie niesłychanie małe karliczki strzegły dwóch piesków, karzełków także w swoim rodzaju, gdyż nie były większe nad myszy; pieski spoczywały w koszyku białym, mało co większym, niż ręka, na poduszce atłasowej woniejącej, skąd wyskakiwały szczekając przeciwko obcym, którzy przybyli je obejrzeć. Jedna z tych karliczek miała męża, lecz ten był mniej od niej przystojnym i pękatym.

Karzeł Stanisława Leszczyńskiego, Mikołaj Furry, zwany Bébé, który urodził się w księstwie Salins we Francyi 1749 r.,

wysoki był 9 cali, ważył funt jeden, a do chrztu w czarce zaniesiony został do kościoła. Usta jego piersi kobiecej pomieścić nie mogły, więc wykarmiła go koza, a trzewik był jego kolebką. W ośmnaście miesięcy po urodzeniu zaczął chodzić, a skończywszy dwa lata, przemawiać. Pierwsze obuwie tego malca było wielkości włoskiego orzecha. W szóstym roku nie większy miał wzrost, jak 16 cali. Wziął go Leszczyński i karzełek przywiązał się do niego, ale sił umysłowych niepodobna było w nim rozwinąć; nauczył się tylko w takt bębnić i tańcować.

Raz zabłądził w trawie na kwietniku i o ratunek musiał wołać, chodził po stole królewskim i siadał na poręczy krzesła. Podawano go czasami na stół ukrytego w pasztecie. Zazdrosny był i prędki, a w gniewie jąkał się i bełkotał. Księżna Talmont chciała go ukształcić, polubił ją też wielce, lecz raz, gdy bawiła się z pieskiem, obrażony tem Bébé wyrzucił go przez okno, mówiąc: „Ma on być lepszym odemnie?“

W szesnastym roku miał wzrostu 22 cale; przez cztery lata podrósł tylko o cztery cale, lecz stał się skrzywionym i nogi mu schnąć poczęły. W dwudziestym pierwszym roku był już zgrzybiałym i zdziecinniał. Słoty były dla niego udręczeniem, promień słońca go ożywiał. Sto kroków przechadzki już go nużyło. Nareszcie niestrawność przyprawiła go o kaszel, gorączkę, pewien letarg; na cztery dni przed zgonem odzyskał przytomność i jeszcze kilką dowcipnych myśli powiedział. Szkielet jego był w bibliotece w Nancy; a później w gabinecie królewskim przechowywany. Leszczyński kazał mu wystawić nagrobek.

Karzeł Branickiego, szwagra Stanisława Augusta, mając lat trzydzieści, nie miał nawet na łokieć wysokości, głowa jego była zupełnie proporcyonalna. Stawiano go często na stół w torcie cukrowym, albo srebrnym koszu pomiędzy kwiatami; grał na skrzypcach i damom rozdawał kwiaty, chodząc po stole.

Był również karzełek u hetmanowej Ogińskiej, który potem znalazł schronienie w domu książąt Czartoryskich.

## PORADNIK GOSPODARSKI.

**O grzybach.** Do pokarmów w porze letniej a zwłaszcza jesiennej, często chętnie używanych, należą g r z y b y, zwykle po lasach rosnące. Najwięcej jadają ich podczas nieurodzaju,

w braku innego pożywienia, i wtedy też ich użycie najczęściej sprowadza bardzo szkodliwe następstwa.

Grzyby są pokarmem smacznym i pożywnym, ale tylko wtedy, jeżeli nie należą do jadowitych (jakich jest bardzo dużo), i jeżeli są należycie przyrządzone. To najgorsza, że niepodobna podać pewnych cech ogólnych, po których grzyb zdrowy i nieszkodliwy od jadowitego możnaby było odróżnić; najlepiej przeto żebyście mogli poznać te grzyby, które u nas rosnąc na pokarm bywają używane i nie szkodzą wcale, a czego was najlepiej starzy ludzie i doświadczone kobiety, trudniące się zbieraniem grzybów, nauczyć potrafią. Do tego rodzaju należą tak zwane grzyby prawdziwe, rydze, pieczarki, krówki czyli surojeszki, gołąbki, gąski, kurki, kozaki, smardze, piestraki czyli trufle, maśluki, borowiki, opieńki, piestrznice, chrząszcze, koźlaki i t. d. Starajcie się zatem poznać takie grzyby, abyście tych, których nie znacie, zupełnie nie zbierali i nie używali na pokarm, a tym sposobem ustrzeżecie się od nieszczęścia; nieraz bowiem wskutek spożycia grzybów niezdrowych następują ciężkie choroby, które i śmierci mogą stać się powodem.

Smak i zapach grzybów jadowitych nie zawsze bywa przykry i odrażający, czasem dzieje się przeciwnie; podamy wam niektóre znaki, na które uważać powinniście. Jeżeli grzyby są barwy ciemnej, zielonawej, szarawej, mieniące się jak pawie pióro, nakrapiane, śliskie, lepkie, nieprzyjemnej woni, w smaku ostre, piekące; jeżeli bydło je omija, jeżeli po przełamaniu czernieją lub sinieją, są łykowate, korzeń czyli łodygę [1]) mają pustą, dętą, takich zbierać nie powinniście. Grzyby rosnące w miejscach nieczystych, na gnojowiskach, w przekopach, gdzie się gnijące istoty znajdują, roślinne lub zwierzęce, po większej części należą do szkodliwych i tych zbierać nie należy; wyjątek stanowią pieczarki, rosnące właśnie w miejscach ciemnych i w nawóz zamożnych.

Jeżeli przy gotowaniu cebula do nich włożona czernieje, nie czekajcie dłużej, lecz wyrzućcie je, nie chcąc narażać się na niebezpieczeństwo. Ale są też grzyby, które nawet takich cech nie pokazują, a mimo to są szkodliwemi; dlatego na jeden znak nigdy spuszczać się nie należy, ale uważajcie na

---

[1]) W każdym grzybie odróżnia się łodygę czyli pień, zwany pospolicie korzeniem, i wierzch czyli kapelusz; ten znów ma górną i dolną stronę czyli spód.

wszystko, co tutaj macie podane, i jeżeli wam przyniosą grzyby uzbierane, o których nie jesteście z pewnością przekonani, że nie należą do jadowitych i szkodliwych, lepiej je odrzucić, niżli żebyście mieli narażać zdrowie i życie własne i domowników waszych na niebezpieczeństwo.

Pamiętajcie też o tem, że grzyby będące pokarmem posilnym, nawet zdrowe, jadalne, jeżeli zjedzone będą w większej ilości, są trudno strawne, a jeżeli nie są przyrządzone i przyprawione jak się należy, także mogą stać się szkodliwymi i wywołać chorobę. Tutaj należą grzyby nie świeże, długo leżące, stare, robaczywe, nadgniłe; to zaś co powiadają, że grzyby zbierane na nowiu, pod pełnią księżyca i t. d. są szkodliwymi, a kiedyindziej nie szkodzą, jest niedorzecznością, i nie wierzcie temu; grzyb jadowity zawsze jest jadowitym i nigdy nie traci swych szkodliwych własności.

Aby was ile możności uchronić od szkodliwych skutków z jedzenia grzybów, podamy wam sposób jak je przyrządzać należy.

Grzyby zebrane trzeba coprędzej ugotować i spożyć zaraz; ani surowych, ani gotowanych długo nie pozostawiać, krając należy odrzucić blaszki lub rureczki stanowiące spód kapelusza, wyjąwszy rydze i gołąbki; z wierzchu ściągnąć skóreczkę powłóczącą; po pokrajaniu opłukują się wodą do czysta, a potem wodą z solą lub octem; później jeszcze raz trzeba wypłukać w wodzie czystej, najlepiej gorącej i wycisnąć. Gotując, należy dobrze posolić i popieprzyć, tłuszczu czyli omasty zbyt wiele nie dodając; cebuli nakrajanej włożyć i uważać czy ta nie czernieje, oraz nie używać ich przed zupełnem ugotowaniem. Grzyby odgrzewane są niezdrowe, i choćby świeżo ugotowane nie szkodziły, po odgrzaniu mogą zaszkodzić.

Jeżeli chcecie grzyby przechować na czas dłuższy, najlepiej ususzyć je na wolnem powietrzu, ususzone posypać solą i pieprzem i w torebkach przechować, albo też na nitki ponawłóczywszy zawiesić w miejscu suchem i przewiewnem (najlepiej na górze). Takie, gdy mają być użytemi, należy w wodzie wypłukać, a potem dopiero w innej ugotować.

Wogóle pamiętajcie, że grzyby należą do pokarmów trudniej strawnych; dlatego ich nigdy wiele, ani też samych jeść nie należy, ale przy innych pokarmach, a przynajmniej z chlebem.

Po zjedzeniu grzybów niezdrowych, jadowitych, zwykle daje się uczuć ciężkość w dołku żołądkowym, ciśnienie i gniecenie, potem boleści i kurcze, nieraz na cały brzuch się roz-

ciągające, ból i ściskanie w gardle, odurzenie, zawrót niemożność utrzymania się na nogach, czasem twarz cała mocno nabrzmiewa, czerwieni się, oczy krwią zachodzą, brzuch staje się wzdętym jak bęben, w oczach czuć ćmienie i zasłanianie, powstaje czkawka, odbijanie, nudności, czasem wymioty, nogi i ręce ziębną, później dołącza się biegunka niekiedy ze krwią i t. d., a następnie śmierć może nastąpić.

W r. 1859, w ostatnich dniach września, prawie równocześnie w trzech wsiach, w pobliżu Willanowa (pod Warszawą) leżących, wydarzyło się 19 przypadków otrucia grzybami, a właściwie bedłkami rosnącemi pospolicie przy drogach, korzeniach drzew, po gnojowiskach, a zwanych od ludu czubajkami albo psiemi grzybami; we wszystkich tych przypadkach, grzyby zostały spożyte na wieczerzę, a objawy choroby wystąpiły dopiero nad ranem i w miarę ilości spożytych grzybów były mocniejsze lub słabsze; ci co więcej zjedli, mocniej też chorowali. Wszyscy dostali bólu i ciśnienia w żołądku, które potem cały brzuch zajęły, bólu i ściskania w gardle, odurzenia, zawrotu, niemożności utrzymania się na nogach, pewnego rodzaju otrętwienia; u niektórych twarz i oczy mocno się zaczerwieniły, wymioty i biegunka powstały. Szybka pomoc lekarska zdołała wszystkim życie uratować; u tych, którzy nie wiele grzybów zjedli, wkrótce po wymiotach choroba ustąpiła, ale ci co się lepiej grzybami uraczyli, dostali zawrotu i osłabienia, które dłuższy czas trwały.

Dużo podobnych przypadków możnaby przytoczyć, ale sądzimy, że te wystarczą, aby was przekonać o potrzebie ostrożności pod tym względem.

Jeżeli zdarzyłoby się wam samym, lub komu z otaczających was podobne nieszczęście, żeby po zjedzeniu grzybów zachorował, nie czekajcie, lecz jeżeli nie ma wymiotów, starajcie się je wywołać przez łechtanie w gardle piórkiem zmaczanem w oleju, albo przez zadanie proszku lub leku płynnego z emetyku, którego w mieście z apteki, a na wsi ze dworu albo od księdza Proboszcza dostać możecie; a jeżeliby się nie polepszało, starajcie się o pomoc lekarską; tymczasem dając pić choremu mleko słodkie, oliwę, olej, odwar z siemienia lnianego (co z tego znajdziecie pod ręką); a jeżeli jest odurzenie, zawrót, nieprzytomność, dajcie kawę czarną, herbatę, które teraz i po wsiach często bywają używane; przytem ciało, szczególniej ręce i nogi, trzeba octem nacierać.

**Środek przeciwko pleśnieniu chleba.** Na wsi, gdzie wypada piec odrazu znaczne ilości bochenków chleba, napada na nie

czasem pleśń przy dłuższem ich przechowywaniu w piwnicy. Dla zapobieżenia temu, należy bochenki, po wyjęciu ich z pieca, włożyć do worka, w którym jeszcze nieco mąki pozostało, tak, aby bochenki wierzchnią stroną skórki stykały się ze sobą. Po napełnieniu, worek się zawiązuje i zawiesza w wolno przewiewnem miejscu. Tym sposobem chleb daje się przechować przez cztery do sześciu tygodni, nie wysychając i nieokazując ani śladu pleśni. Przed użyciem, kładzie się bochenek na jednę noc w piwnicy, aby chleb był miększym.

## Figle i żarty.

**W sądzie.** Sędzia do oskarżonego: Tutaj w aktach wypisano, że już raz byliście karani za oszustwo, a czternaście razy za kradzież.

Oskarżony: Tak, tak, panie sędzio! Do tej nieszczęsnej kradzieży, to nigdy nie mam szczęścia.

**Żyd Saul.** Trzech dowcipnisiów spotkało starego żyda, z którego chcieli sobie zażartować.

— Dzień dobry, ojcze Abrahamie, rzekł pierwszy.

— Dzień dobry, ojcze Izaaku, rzekł drugi.

— Witam ojca Jakóba, rzekł trzeci.

— Mylicie się panowie, — odpowie żyd z uśmiechem, — gdyż nie jestem ani Abrahamem, ani Izaakiem, ani Jakóbem, tylko Saulem, synem Kis, który wyszedł (jak stoi w biblii), szukać osłów ojca mego, i oto ich znalazłem.

**Na gościńcu** przewrócił się powóz, w którym jechało dwóch panów. Furman nie mógł sobie sam dać rady i poprosił przechodzącego chłopa, żeby mu pomógł dźwignąć powóz,

— A kto tam jedzie tym wozem? — zapytał chłop.

— Panowie ze sądu! — odrzekł furman.

— A to nic z tego! — nieboszczyk tatuś przestrzegał mnie zawsze, żebym unikał sądu! — odpowiedział chłop i poszedł swoją drogą.

**Jest sposób.** Krawiec skarży się przed szewcem na swe dziwne nogi, że pierw drze zawsze wierzchnie przyszwy, aniżeli podeszwy. Cóżby na to zrobić?

Szewc: Jest sposób taki; dam ci podeszwy na wierzch, a przyszwy pod spód, wtedy zedrzesz je równocześnie.

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.